



WOJCIECH ŁABĘDŹ

NOCNIK

WYPEŁNIANA FORMA
BARDZIEJ POJEMNA

NOCNIK

WOJCIECH ŁABĘDŹ

NOCNIK

**WYPEŁNIANA FORMA
BARDZIEJ POJEMNA**

Jirafa Roja
Warszawa 2016

© Copyright by Jirafa Roja, 2016

© Copyright by Wojciech Łabędź, 2016

Korekta i redakcja: Adam Mrowczyk

Łamanie: TYPO 2

Druk i oprawa: Sowa Sp. z o.o.

www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-63879-59-4

Wydanie I

Warszawa 2016



www.jirafaroja.pl

Sobie. A co.

*Kiedy już nie będzie nic,
ze szczątków połamanego nocnika (...)
wyobraźnia odbuduje światy.*

G. FLAUBERT

Kiedyś na jakiejś kretyńskiej rozmowie kwalifikacyjnej musiałem odpowiedzieć na pytanie, jak wyobrażam sobie coś meta, metaoniryczność na przykład.

Przydarzyło ci się kiedyś coś takiego? Metaoniryczność, oczywiście, nie rozmowa kwalifikacyjna.

Śnić o tym, że śnisz.

Albo gorzej – potem śnić jeszcze, że z jakiegoś nieznanego ci powodu, być może zbiegu okoliczności lub czegokolwiek innego, budzisz się właśnie nie gdzie indziej, tylko w śnie właśnie i masz tego pełną świadomość. Koszmar. Sen już sam w sobie jest przecież pewnym rodzajem schizofrenii.

A to i tak jeszcze byłoby nic.

Naprawdę przesrane jest obudzić się i otworzyć pierwszy raz własne oczy, aby zobaczyć otaczającą głęboką czerń snu.

Ale snu czyjegoś.

I oto stało się.

Jakoś tak nagle, kompletnie nieprzewidywalnie, niespodziewanie dla nikogo. Niby tak całkiem po cichu, a jednak z wrzaskiem, wśród głuchego milczenia murów, przerywanego od czasu do czasu tępym dudnieniem odpadającego tynku. Naskórka blado gnijących ścian. Stało się właśnie tam, gdzieś w brzęczącym jazgocie wrogich myśli, z wielokrotnionych przemieszaniem zwalczających się osobowości. Na kojącym szumie pełzającego dywanu w kolorze zepsutej krwi, pod wyjaśniającym niektóre wątpliwości i rzucającym cień na wiele innych, oświetleniem (żeby nie powiedzieć – oświeceniem) rdzewiejącego żyrandola – po prostu stało się.

Nic już tego nie odwróci; nic w żaden sposób nie jest w stanie tak potoczonego rozwoju wypadków powstrzymać.

I dobrze.

Niektóre wydarzenia, zbiegi okoliczności, a nawet wypadki, po prostu muszą się wydarzyć. Albo przynajmniej wydarzyć się powinny. Ostatecznie – niektóre wydarzenia się na przekór wszystkiemu, a zwłaszcza wszystkim, ale to w zasadzie nie dziwi i jest w jakiś sposób normalne. A raczej – naturalne.

I nieuniknione.

Możesz oczywiście w tym momencie z hukiem zatrzaskać książkę. Nikt nie powoła z tego tytułu komisji sejmowej.

Albo rozetrzeć nogą, dajmy na to, czarny pył.

Możesz gromko powiedzieć sobie, że to, co ja oferuję, co chcę sprzedać za cenę twojej duszy, nie jest ci do niczego potrzebne i nigdy nie będzie. Być może miałbyś nawet i rację. Możesz zadecydować, pomijając radośnie zdanie twego zadławionego winami sumienia, że ta opowieść w najmniejszym szczególe cię nie dotyczy. Pewnie, w końcu to całkiem możliwe, a i nawet w jakimś tam stopniu prawdopodobne. Możesz sobie wreszcie wmówić, że zanurzenie się w tej historii w żaden sposób cię nie obchodzi. No jasne, że możesz.

Nie zmieni to jednak faktu, że ta opowieść – czy tego ludzkość chce, czy nie – wydarzyła się, w jakiś sposób się zapisała i będzie świadomie istnieć, sama o sobie decydować; będzie dalej wypaczała sny. Choćby i daleko poza twierdzą twojej hermetycznie pozamykanej świadomości. Będzie istnieć własnym, nieprzymuszonym i w pełni wolnym bytem, choćby i na kartach szczelnie, bądź nawet beczelnie zamkniętej księgi.

Albo dajmy na to, na przykład w czarnym pyłe.

I będzie się głośno śmiać, rechotać histerycznie, będzie kruszyła zmurszałe pałace twojej jaźni, aż kiedyś zapali w tobie żagiew zwątpienia, a później strachu. Potem wydłubie ci oczy i całkiem ślepy pójdziesz na rzeź. Bo opowieść przedarła się przez lustro o złotych ramach, aby pojawić się po twojej stronie.

Opowieść bowiem, jak zostało powiedziane, już się stała i stawać wciąż się będzie na nowo.

Choć to prawda, że nikt do końca nie zdaje sobie sprawy z tego, czym to grozi. I nikt pewnie nawet nie

potrafi powiedzieć, co taki stan za sobą przyniesie, do czego w efekcie może doprowadzić i jak zgubne mogą być skutki takiego zbioru wzajemnie siebie determinujących sytuacji.

Być może, gdyby ktoś kiedyś wcześniej się zorientował, gdyby ktoś się zatrzymał i dokładnie temu przyjrzał, gdyby odpowiednio i stanowczo zadziałał, nie miałoby to nigdy miejsca. Gdyby ktoś w porę zainteresował się złymi, cyklicznie pojawiającymi się omenami, gdyby ktoś w porę odczytał i zinterpretował pojawiające się na murach anonimowe, pisane jakby krwią przepowiednie, gdyby ktoś był w stanie przewidywać na taką skalę, pewnie ta historia nigdy nie miałaby okazji się wydarzyć.

Ale jest już za późno. Bo spełniło się.

I będzie spełniać się nadal.

Pewnie przyszło ci kiedyś do głowy, że całkiem możliwym jest, iż to właśnie chaos jest prawdziwym, naturalnym uporządkowaniem wszechświata, z tą całą swoją nielinearnością, dziką zmiennością form, spontanicznością i nieprzewidywalnością. Mnie przyszło, więc każdemu mogło przyjść.

Początek i koniec to dwie cechy dystynktywne porządku. Jak dwa końce każdego normalnego kija. Albo jak dwie strony ruskiego medalu.

Chaos tego nie ma. To co – Bóg też jest chaosem?

Bo chyba nie chaos jest Bogiem?

Bzdura.

Krawczyk na festiwalu w Opolu powiedział, że nie widać na nim siwych włosów, bo robi sobie *balejaż*.

Bzdura numer dwa. Bo niestety nie każdy, kto kładzie jakąkolwiek farbę na łeb od razu sobie *balejaż* robi. Tak jak nie każdy, kto ma tupet, nosi perukę.

Ale Bóg to niezły pretekst do tłumaczenia istnienia. Nawet przypadkowego.

I dokonał się wreszcie, pośród ogłuszających gromów burz i demonicznego wycia wichur, chtonicznie mroczny akt stworzenia, przekłete słowo przeklętym ciałem się stało. A ciało nazwano Mateuszem.

I w tym miejscu zapewne powinienem zwyczajnie zapalić nad wyraz normalnego, przeciętnie długiego i średnio drogiego papierosa, wygodnie rozsiąść się w średnio wygodnym i bardzo skórzanym fotelu, popatrzyć w twoje nie do końca płonące ciekawością oczy i na wpół rozdziawione usta, po chwili dłuższej lub całkiem krótkiej wziąć ceremonialnie głęboki oddech, przymrużyć spojrzenie i wreszcie coś ci o sobie powiedzieć. Być może wtedy powinienem przyznać, że to całkiem skądinąd piękne imię – Mateusz, jest zupełnie nieprawdziwe i wybrane tylko w celu pełniejszego opowiedzenia tejże historii. A jak brzmi prawdziwe? Ano, nie brzmi. Chole-ra wie, mówiąc jaśniej. Możliwe, że nie pamiętam, choć bardziej prawdopodobne, że nigdy nie wiedziałem. Tak więc, niech będzie Mateusz i tyle. Imię to – dobre w końcu jak każde inne, zwłaszcza na potrzeby tejże opowieści

– wybrane jest więc w pełni przypadkowo i bez większego celu. Nie widzę przeszkód, aby po rozpatrzeniu racjonalnie uwarunkowanych protestów lub zażaleń, w tym miejscu nie mogłoby się pojawić jakiekolwiek inne imię męskie. Albo nawet żeńskie, w końcu sprawa płci w moim wypadku to także kwestia daleko idącej umowy. W zasadzie to przecież i tak nikogo nie obchodzi. Co nie zmienia jednak faktu, że imię to, mimo całej swej przypadkowości, zawiera w sobie stare, dobre, greckie słowo, które w sposób niemalże doskonały określa to, co tkwi w samym centrum mej osobowości, i jest jej integralną częścią. Jest jej szkieletem, ociekającą krwią kością. Niezgody.

Pewnie także, aby choćby zasugerować ci ułudę szczerości własnej osoby, jej wiarygodności i prawdziwości, których z takim utęsknieniem zapewne wyglądasz, powinienem czuć się w obowiązku przywdziać jakieś nazwisko – równie fałszywe jak i imię – które do polskiej ziemi jak pies do budy byłoby przywiązane od najstarszych pokoleń. Może nawet gdzieś i kiedyś, jakby się któryś przodek po pijaku w jakąś zawieruchę wojenną zaplątał, krwią i potem by służyło, choć jest to równie prawdopodobne, jak przypuszczenie, że ja sam mógłbym służyć.

Całkiem możliwe, że powinienem opowiedzieć ci również o swej nieistniejącej i do końca zmyślonej przeszłości, abys mógł wypchać mnie szczelnie wypełniającymi trocinami przeżyć, wcisnąć do ręki ciężący bagaż doświadczeń, abys mógł się tym samym lepiej ze mną

integrować, może nawet ze mną utożsamiać i w pełni albo nawet i w nowiu ze mną identyfikować. Być może zdrowe wdrażanie wątku fabularnego wymagałoby, abym zechciał w tym miejscu opowiedzieć o swych wyssanych z czyjegoś palucha mglistych planach na przyszłość, pomijając fakt, iż od co najmniej lat kilku planów takowych – podobnie jak i przyszłości – nie posiadam.

Możliwym jest, że powinienem ci przedstawić pokrótce pełny opis swego, a jakże, wielce ciekawego i niesłychanie złożonego charakteru, może nawet i olśniewającego wyglądu, żeby stać się bardziej plastycznym i w jakiś sposób pełnym, abyś wiedział, spragniony wiedzy łakomy czytelniku, z kim masz do czynienia.

A w najgorszym wypadku, abyś mógł bez większego wysiłku wałnąć w miarę sensowną charakterystykę szkolną na potrzeby dodatkowego zadania domowego.

Bardzo możliwe, że zostałem zobligowany samym tylko faktem bycia do przedstawienia powyższych informacji w sposób wyczerpujący i niepozostawiający wątpliwości. Być może zatem, nawet dokładnie i zgrabnie uczyniłbym to tutaj, konfabulując skrzętnie to, o czym nie mam zielonego pojęcia, gdyby nie fakt, że cholernie mi się nie chce.

Tak w gruncie rzeczy to chyba każdy jest w stanie w pewnych okolicznościach doświadczyć obecności czegoś, o nieistnieniu czego jest całkowicie, ale to całkowicie przekonany. I być może nawet przemknie

mu myśl, że właśnie to, co wtedy zobaczy, poczuje czy usłyszy należałoby, mimo wszystko, nazwać tym prawdziwym – że tak powiem – bytem.

Dobra.

A co, jeśli jedno jest tylko dzienną, a drugie nocną stroną tego samego?

Nic.

Na końcu, jak zwykle, jeden aspekt zrepresjonuje drugi. Jasność stłamsi Ciemność, Dobro pokona Zło, Cnota zagóruje nad Ułomnością, Prawda nad Fałszem, Umysł opanuje Ciało, Podmiot (rzecz jasna *biały, heteroseksualny męczyzna*) podporządkuje sobie Innego, Uczucia Żądze, Idee ich Realizacje, i tak z całym bajzłem.

Przecież uwaga ludzkości przez całe wieki skupiała się wokół bytu i odbytu, ale publicznie nawet dziś mówi się bez skrępowania tylko o tym pierwszym.

Niejaki osobnik, zwany dalej panem Autorem, choć bardzo by chciał (i ty też zapewne jego relację wolałbyś przeczytać), nie może opowiedzieć ci tej historii.

Nie może opowiedzieć, bo on nigdy nie był jej częścią. Przynajmniej – nie bezpośrednio. To po prostu nie mogło się mu przytrafić.

Za to mogło się przytrafić się mnie.

On tak naprawdę nie istnieje tu, gdzie ta opowieść miała, bądź ciągle ma – nigdy nie jestem pewien – miejsce. Podobno ktoś, gdzieś, kiedyś o nim słyszał, ktoś go może nawet i widział, ktoś krzyczał, że jego

szwagier, będąc na przepustce, pił z nim wódkę, a ktoś nawet podobno dał mu w pysk. Być może. Ale zapewniam, że nikt, ale to najzupełniej w świecie nikt nie może stwierdzić, że pan Autor, jakby to powiedzieć, istniał.

Być może – a ręczę, że całkiem sporo, wręcz prze-rażająco wiele na to wskazuje – Autor jest wytworem mojej chorej i nad wyraz w niektórych kwestiach wy-bużałej wyobraźni. Może być majakiem, skutkiem upo-żenia alkoholowego. Taką jakby białą myszką. Nie za-przeczam, nie potwierdzając przy tym także. Bardzo prawdopodobnym jest, że pojawił się wraz z dymem trawki wydalany powoli z nosa prosto w paskudne me oblicze zatopione w zimnym kryształ lustra w ubi-kacji. Wykluczyć tego niestety nie mogę.

Równie możliwym jest, że przeświadczenie o ist-nieniu jego osoby jest jakąś zbiorową psychozą, w któ-rej, chcąc nie chcąc, uczestniczę, skutkiem społecznej hipnozy, produktem popkultury albo częstką podstaw wiary utkwionej dogmatami i niewyjaśnianymi od wieków magicznymi symbolami w sercach społeczeń-stwa już z dziada pradziada, a która wybuchła obja-wieniem w sposób tyleż niekontrolowanej, co błędnej pewności o jego istnieniu, w skutek mniej lub bardziej nienaturalnego zbiegu okoliczności. Cudu na przykład. Przecież na dobrą sprawę, dowodów w miarę wiary-godnych w tej sprawie nie przedstawił jeszcze nikt, za to wątpliwości co do istnienia, a zwłaszcza istnienia je-go osoby, jest cała masa.

Teraz, kurwa, ja tu rządzę. I chuj.

Oglądałem *Szansę na sukces* z Bayer Fullem.

Wtedy pojąłem, że wszystko jest już relatywne: szansa, sukces, sztuka, śpiewanie.

Podobno *koń, jaki jest, każdy widzi*. Ślepców, rzecz jasna, w to nie wliczając. Tylko jak to zorganizować, żeby wszyscy zawsze widzieli i czuli dokładnie tak samo? Dokładnie to, co trzeba?

Można jeszcze dokonać czegoś podobnego w ogóle?

Pewnie można.

Tylko po kiego wała.

Powstałem zatem po to, aby opowiedzieć ci pewną historię. Taką całkiem zwykłą i niespecjalnie odkrywczą, którą słyszałeś już pewnie wiele razy.

W końcu literatura się skończyła, co nie?

Prostą historię, która niczego nie zbawi, raczej niczego nie zmieni, która żadnym sercem nie wzruszy – a i innymi narządami pewnie także nie wstrząśnie. I choć historia jest ponoć nauczycielką życia, to chyba wyjątkowo kaprawą, bo mnie niczego nie nauczyła, a i ciebie zapewne niczego nowego nie nauczy. Historię, która wydarzyła się wtedy, kiedy nie istniałem. Albo raczej – kiedy nie wiedziałem, że istnieję. Bądź wiedziałem, a raczej sądziłem, że nie istnieję. Nie ważne, rzecz jasna, nie o to tu przecież idzie, chodzi raczej o to, że historia ta nigdy się nie wydarzyła, choć miała miejsce co najmniej kilka razy. W tej czy innej czasoprzestrzeni.

Na tej czy innej płaszczyźnie sensu i znaczeń. W tej czy innej świadomości postaci zaplątanych w tę lub zupełnie inną intrygę i umieszczoną tu bądź koniecznie i w pełni świadomie, bądź mniej świadomie lub wręcz całkiem przypadkowo, a czasem – bo i takie osoby się zdarzą – z całą pewnością świadomie, przy czym z całą pewnością na siłę. To przecież też nie jest tutaj ważne.

Ważne natomiast jest tu miejsce.

Miejsce, gdyż wydarzyła się w tym samym mieście. Nie podobnym, nie utożsamionym, nie stworzonym na potrzeby tej opowieści na jego wzór lub jego podobieństwo. Historia ta miała miejsce w tym dokładnie mieście i w żadnym innym.

Bo ta historia jest opowieścią prawdziwej twarzy tego miasta.

Bo ta opowieść, mój drogi czytelniku, to jest korespondencja z drugiej strony. Korespondencja kierowana przez drugą stronę do twojej drugiej strony. Aż chciałoby się dopisać dużymi, tłustymi literami: musisz to mieć!

Podsumujmy (ja wiem, że to dopiero siedemnasta strona, ale kiedyś słyszałem jak nieoceniony Darek Szpakowski podsumowywał mecz po piętnastu minutach spotkania, więc nie czuję się jakoś specjalnie winnym): tak czy inaczej, choć nie istnieję, powstałem po to, aby opowiedzieć historię, która nigdy się nie wydarzyła i która nigdy nie miała się wydarzyć. Ale miała miejsce w tym mieście. I niepowstrzymana będzie

zabijać, skazując na chorobę, gnicie i potępienie zaklęte w zimnej samotności. I zaprawdę powiadam ci, nie jest ważne, że – obiektywnie rzecz biorąc – historia ta nie istnieje, czyli nigdzie nie trwa. Podobno.

Jaka to różnica, skoro ty zapewne też jesteś wytworem czyjejś chorej wyobraźni?

Hasło jak z reklamy:

Obudź się wreszcie, obudź, bo to wcale nie jest sen...

OBIEKTY ODBITE W LUSTERKU SĄ BLIŻEJ
NIŻ SIĘ WYDAJE

Instrukcja naklejona na wstecznym lusterku samochodów osobowych niektórych marek.

Opowieść w zasadzie mógłbym zacząć tak:

Znów zapadałem się w łóżko.

Leżałem całkiem bezwładnie, nieświadomie podziwiając imponująco złożone pajęczyny nierównomier-
nych pęknięć na suficie, przypominające nieco jakies
fraktale, malowane na szybie potężnie ścinającym
mrozem.

Miały w sobie to, czego brak wszystkim, idealnie
równym, nudnym płaszczyznom. Były ciekawe. I pięk-
ne, na swój sposób. A piękno to wynikało właśnie z ich
deformacji.

Tak więc, zapadałem się. Rozkminiałem przez chwilę, czy to aby nie jest już moje doświadczenie inicjujące.

Ale nie, po prostu zapadałem się i tyle.

Odniosłem nawet wrażenie, że całe ciało, które bądź co bądź należało przecież do mnie, postanowiło w jednej chwili zaprotestować i w zaostrej formie strajku odmówić wykonania poleceń woli. To jedno wiedziałem w tamtym momencie na pewno: jeśli wykonałbym jakikolwiek gwałtowny ruch, skutki tego występkę odczuwałbym przez cały dzień, a może nawet i dłużej.

Pomijając fakt, że nie miałem zielonego pojęcia, czy nadchodził teraz ranek czy zmierzch.

Powoli przymknąłem oczy – na to tylko było mnie stać w tym momencie. Od razu jednak je otworzyłem, gdyż blask świetlistych miraży i migocących wzorów, nachalnie wrzucających się pod powieki, okazał się nie do zniesienia. Pomyślałem, że w takiej właśnie chwili sięgnąłbym po papierosa, gdyby nie to, że nie palę. W zasadzie. Ruszyłem końcami palców, czemu towarzyszyło świetnie znane uczucie mrowienia.

Jak już wspomniałem, zapadałem się.

Usilne próby przypomnienia sobie wydarzeń, jakie zaszły w ciągu kilku ostatnio ubiegłych godzin, spełzły, rzecz jasna, na niczym. Czułem się, żeby nie przekląć za ostro, kurewsko podle. Choć nie był to kac. Nie była to też grypa, ani żadne inne wirusowe cholerstwo (choć w sumie – kto wie?), nie był to skurcz, nie była to nawet depresja, na którą cierpi każdy porządny Polak. Tyle, że ja nie jestem porządny.

Zresztą, żaden Polak nie jest porządny.

Nie była to też melancholia, nostalgia, chandra, ani nawet efekt wycieńczenia organizmu uprawianiem jednego z ulubionych sportów współczesnej młodzieży – zajechaniem szybkiego numerka w niewiarygodnie ciasnej i niewygodnej klubowej ubikacji.

Po prostu – zapadałem się w łóżko.

Powoli, aczkolwiek z niesłychaną konsekwencją, którą porównać można chyba tylko do wprawnych gestów kolesia, który pracując dwadzieścia lat przy taśmie, przykręca jedną tylko i tę samą śrubkę, łóżko wciągało mnie w siebie. Najpierw zaczęło się skromnie, nieśmiało i wyjątkowo powoli. Było błogo, ciepło, w zasadzie miękko, przyjemnie i piekielnie usypiająco.

Najgorsze było usypianie. To osłabia czujność.

Zaczęło się, jak zwykle, od dłoni. Zrobiły się nagle niesłychanie ciężkie, a czerwony jedwab pościeli ochoczo przyjmował ich ciężar. Potem przyszła pora na nogi. Pięty zdawały się przebijać równą powierzchnię prześcieradła. Niedługo potem jedwab zalewał niczym spokojna woda me plecy, ramiona, brzuch, całe ciało.

Zapadałem się. Coraz niżej. W głąb. W jakąś niesłychanie nienasyconą głębię. Gdy łóżko wciągnęło mnie na tyle głęboko, że jego krawędzie sterczały nade mną zajebiście wysoko, prawie nieosiągalnie, gdy nabrałem sporej perspektywy do sufitu, zauważyłem coś.

To, czemu przyglądałem się od bliżej nieokreślonego czasu, wcale nie było sufitem, choć wszystko na to

wskazywało. Było wieloczęściową mozaiką zbitego lustra. A to, co rysowało się w jego złotych, zniszczonych ramach było spękanym, rozbitym obliczem zapadającego się w głąb trupa. I nie miało znaczenia, że trup był żywy. Równie nieważnym było, że za grób służyło jedwabnie pościelone łóżko, stare i wielkie jak siedziby komitetów centralnych.

Nie miało znaczenia, przynajmniej w obliczu faktu, że wciąż się zapadałem. A łóżko najwyraźniej nie było moje.

Klara stała przy kuchni, ostry zapach zdradzał, że coś pichciła.

Miała na sobie tylko starą, nieco już zniszczoną, pobrudzoną farbami koszulę. Zawsze malowała tylko w niej, nawet w zimie. Czasem bez niej. Kruczoczarne, opadające niechlujnie i nierównomiernie półdługie, bądź półkrótkie – jak kto woli – włosy, odsłaniały kilka wąskich pręg, przebiegającego po jej karku czarnego tatuażu, zakręcającego koło prawego ucha i znikającego w gąszczu na głowie. Nigdy nie zdążyłem mu się dokładnie przyjrzeć. Nikomu zresztą na to nie pozwalała.

Cały, potworny wysiłek ogromnej koncentracji swych zmysłów i – tak wrodzonej, jak i nabytej – inteligencji poświęciłem odnalezieniu spodni. Z dumą, od której kraśnieją mi policzki, mogę dziś stwierdzić, że rozwiązanie tego zadania udało mi się wtedy osiągnąć w czasie nie dłuższym niż kwadrans. Nawet akademicki.

Potykaçąc się o cały szereg rupieci, płócien, przedmiotów bliżej nieskalibrowanych rozmiarów, zastosowania i kształtu, dobrnąłem do szczupłej, smukłej i pachnącej wanilią postaci Klary.

Pocałowałem ją delikatnie w ucho, po czym leniwie opuściłem zawsze tajemnicze mieszkanie na poddaszu przy pokręconej ulicy Krętej, konstatując równocześnie, iż mam potwornie nieświeży oddech.

Poranek, wdzierający się szturmem zza swojsko zniszczonych, odrapanych i cuchnących moczem drzwi starej kamienicy zaatakował mnie wrogiem każdego rozkładającego się mięsa – rannym słońcem piekielnie gorącego dnia.

Było jedno miejsce w tym zawsze wrogim, nieustająco osaczającym i ciągle duszącym mieście, które przez całe życie, może nawet i wbrew sobie, a już na pewno wbrew opinii większości kaprawych sąsiadów, nazywałem całkiem miłym domem. Miejsce to wyrastało ponurą, kanciastą kupą cegieł na ulicy Krasińskiego, tak mniej więcej w samym jej środku. Miejsce to było starsze niż większość okolicznych budynków, a przynajmniej budynków na tejże ulicy. O ile nie było nawet najstarsze.

Kamienica ta zbudowana została ponoć przez jakiegoś rzutkiego człowieka interesu, który – jak to przed wojną bywało najczęściej – Żydem był z pochodzenia, a i pewnie z zamiłowania. Wojnę owa kamienica przeżywała w stanie średnio naruszonym (czego nie da się

powiedzieć o Żydzie), nieliczne usterki można było fu-
szerką poratować. Po wojnie, budynkiem tym zajęli się
jacyś rzutcy ludzkiego interesu, tym razem Polacy, którzy –
jak to po wojnie bywało najczęściej – zagarniali ocho-
czo wszelki po Żydach majątek. Potem jednak *przyszli*
komuchy i majątek wziął w dupę. Budynek socjalistycz-
nie uspołeczniono, burżuazyjno-kapitalistycznych
właścicieli odciążono od niedogodności posiadania
własności, a w wolne mieszkania wciśnięto kwiat klasy
robotniczej, tak zwanych lokatorów komunalnych.

Jak się szybko okazało, co jest wspólne – najczęściej
bywa niczyje. Tak więc rozkład budynku postępował
lawinowo, wraz z nieubłaganiem mijającymi latami. Aż
wreszcie przyszedł rok osiemdziesiąty, gdy to moi ro-
dzice, ponaglani rychłym mym na świat nadejściem,
postanowili wreszcie kupić mieszkanie. Żeby groteski
jednak stało się zadość, mieszkania kupić się nie dało.
Chyba, że kupi się całą kamienicę i obejmie pieczę nad
administracją. O zaklętych w ścianach tamtejszych
demonach, nie wspomniano. I choć rodzice ją kupili,
to mieli jej tylko połowę, choć byli właścicielami, to
lokatorzy byli komunalni i podlegali władzy jedynie
słusznej. A że prowadzili administrację, terminowość
wykonywania bieżących napraw i remontów egzekwo-
wana była z diabelską precyzją. Zupełnie jakby o cyro-
graf szło.

Miejsce to, choć nie było urocze, miało jednak pe-
wien swój koloryt. Otoczone typowym, szaromiejskim
architektonicznym przygnębieniem, tkwiąc krzywo

pomiędzy rozpychającymi się peerelowskimi blokami, ciężko zionęło zdyszane stęchłym powietrzem zdewastowanej klatki schodowej.

Klatka ta, skądinąd wielce interesująca, rozpinała malowniczo na swych ścianach – niczym puszcza w ściółce – dumnie panoszącego się grzyba. Tatuowała się także sukcesywnie, wraz z rozwojem pseudoedukacyjnym mieszkańców, coraz to bardziej wyrafinowanymi napisami o treści tyleż obraźliwej, ileż w formie plugawej.

Barwne życie miasta dla tejże klatki schodowej wiele nigdy nie zmieniało, a przełom roku osiemdziesiątego dziewiątego zaowocował jedynie zamalowaniem niegdyś całkiem bogatych, interesujących zdobień jeszcze pożydowskich pragmatycznie białą farbą. Zamalowaniem, ale tylko do połowy wysokości budynku. Malowanie objęło bowiem tylko półtora piętra. Nikomu to chyba jednak specjalnie nie przeszkadzało, przynajmniej nie bardziej niż odpadający z pasją przy każdej okazji stary, siwy tynk.

Koloryt klatki schodowej nie miał się jednak nijak do egzotyki mieszkańców, jacy rezydowali w tymże domu.

W zasadzie już na parterze było ciekawie. Z jednej strony mieszkała samotna matka z dwudziestoosmioletnim niemowlakiem, obciążonym, jak przypuszczam, wieloma dolegliwościami natury psychicznej. Fakt, że dla całego społeczeństwa był on jak najbardziej zdrowy, dowodzi tylko rażących luk w naszym systemie

opieki medycznej albo grupowego zidiocenia społecznego o zasięgu masowym. Był, jeśli nie wariatem, to kretynem na pewno. Jej samej zresztą też nic nie brakowało. Mąż, gdy dowiedział się, że ta oto kobieta jest w ciąży, podjął błyskawiczną, cholernie męską decyzję o natychmiastowej emigracji w bliżej nieokreślonym kierunku. Została sama, z rodzicami, którzy zresztą dość szybko się przekręcili, pozostawiając jej smutne, brzydkie, zagracone, śmierdzące mieszkanie pełne bólu, wspomnień i wilgoci. Więc piła.

Naprzeciw tego mieszkania znajdowało się mniejsze, od kilku lat puste. Wcześniej był to lokal o charakterze rozrywkowo-monopolowym, zwany *małym zbawieniem*, *placówką palcówką*, *pijalnią*, albo normalnie – *metą*. Melina prosperowała całkiem sensownie do czasu, gdy stary znajomy gospodarza nie wyszedł z więzienia. Siedział zresztą dlatego, iż wesoły animator działalności rozrywkowej lokalu wsypał go ochotczy przy pierwszej nadarzającej się okazji, w zamian za odstąpienie od postępowania karnego odnośnie jego własnej osoby, w sprawie mi bliżej nieznanej.

Tak więc, jegomość pewien z pierdła wyszedł i postanowił kamrata o przydługim języku najzwyczajniej w świecie spalić podczas snu.

Pomysł miał iście napoleoński, jednak wykonanie nie za bardzo. Spalił jedynie drzwi wejściowe, zapaskudził sadzą całą zmordowaną klatkę schodową, a sam zbiegł. Niedaleko zresztą, gdyż ujęto go jeszcze tej samej doby. Tak czy inaczej, melina wreszcie stała się